

## Rozdział VI

Gromada chłopców podchodziła już zupełnie blisko. Trzeba było rozejść się szybko, by nie narazić się na łobuzerskie zaczepki. Tak chciała porozmawiać z Helmutem, poszłaby z nim dokądkolwiek — byle razem.

I w jego oczach było tyle prośby, że dłużej nie mogła się opierać. Spojrzała na zegarek.

— Jest czwarta. Muszę pobyć trochę z babką. O szóstej?

— Dobrze! — westchnął. — Gdzie?

— Przy naszej przystani. Ale idź do jeziora dookoła, szosą na Zgniłochę, a potem polem na dół. Ja pójdę prosto przez wieś.

Pobiegła drogą. Dopadła domu, pchnęła furtkę, która rozhuśtała się z piskiem. Na progu potknęła się, ale znalazła oparcie w drzwiach. Do kuchni weszła na palcach.

— Babka śpi? — szepnęła.

Mama wstała z krzesła.

— Śpi — odrzekła. — Zostaniesz teraz w domu? — Ja pójdę odwiedzić ciocię Zosię. Ernest pojechał do Butryn.

— Po co?

— Ma tam jedną...

— Kogo? Narzeczoną?

— Niby. Zaczyna się to zawsze pewnego dnia.

Mama narzuciła na siebie prochowiec i wyszła.

— Zaczyna się to zawsze pewnego dnia — szepnęła Jadzia jak echo. — Chyba się już zaczęło.

Ta myśl napelniła ją dumą. Zapragnęła pomarzyć o swojej dorosłej przyszłości. Weszła do pokoiku, w którym leżała babka. Jej głowa spoczywała na poduszce, w suchej twarzy uwydatniały się pod naprężoną skórą kości policzkowe. Wargi poruszały się równym rytmem, wydając przy oddychaniu ciche, zaledwie dosłyszalne świsty.

Jadzia podeszła na palcach do stojącej opodal pieca pluszowej kanapy. Siadła na niej, potem podciągnęła nogi i położyła się, kładąc ręce pod głowę.

Wspomniała jakąś mijaną kiedyś podczas podróży autobusem wioskę, w której pośród sadów stały domy z czerwonymi dachami i kryte blachą budynki gospodarcze. Przed domami ogródki kwiatowe, a za sadami żółte, dojrzewające pola. W samym środku wsi stała pod lipami szkoła, patrząca na świat gęstym szeregiem dużych okien. Ze szkoły wybiegały dzieci z tornistrami na plecach i kiwały rączkami pasażerom autobusu. Młoda nauczycielka szła w otoczeniu tej gromady i uśmiechała się tak, jakby witała słońce, wiosnę, cały świat i całe życie.

Ten obraz powracał nie pierwszy raz. Zawsze przy tym pragnęła być nauczycielką w owej wsi. Wyobrażała sobie, jak to ona idzie do sadu za szkołą i zbiera duże, rumiane jabłka. Zza jednego z drzew wychodzi opalony chłopiec z zawiniętymi rękawami koszuli i podbiega do niej, by schwytać ją w ramiona. Gonią się pomiędzy drzewami, wreszcie ona przystaje zmęczona, z bijącym sercem, a on — obejmuje ją, gładzi dłońmi jej włosy i szuka jej ust. Podczas pocałunku niebo wiruje nad nią i jabłka kołyszą się na drzewach jak dzwony.

A potem znowu dzieci — ta sama gromadka, otaczająca ją z serdecznymi uśmiechami. Nie będzie żadnych nienawiści, żadnych prześladowań, żadnej walki o polskość — w której są zanurzeni na co dzień. Będzie starała się być dobra dla dzieci, by wyrosły na dobrych, pięknych ludzi. Siądzie ze swoim chłopcem — ze swoim mężem — na drewnianej ławie przed szkołą i będzie świeciło popołudniowe słońce, a uczniowie będą przychodzili do nich, rozmawiali, pytali.

Wzdrygnęła się, bo mąż pojawił się jej w postaci Janka Antoniuka. Uspokoiła się jednak natychmiast. Dlaczego nie miałby nim być Janek? Dobry, ładny, pracowity chłopak. Myśli o niej teraz na pewno i oczekuje jej powrotu. Interesował się nią zawsze tak serdecznie i zawsze starał się jej pomóc.

Wyobraziła sobie lata, czekające ich od tej chwili aż do czasu wspólnej pracy w wiejskiej szkole. O ileż milej wyobrazić sobie te lata z Jankiem niż z Helmutem — z dalekim, smutnym Helmutem, pisującym tęskne listy.

Babka zakaszłała. Jadzia otworzyła oczy — do poikoiku wdarł się już zmrok. Zerwała się z kanapy, podeszła do okna, spojrzała na zegarek: zbliżała się piąta.

— Czy nie trzeba babci czegoś?

Babka podnosiła się do pozycji siedzącej, więc podsunęła jej i rozprostowała poduszki.

— Daj mi pigułkę i łyk herbaty.

Siedziały w mroku i rozmawiały o codziennych sprawach. Kto gdzie zaczął pracować, kto w jakiej był podróży, kto co kupił, kto z kim zamierza się pobrać.

Wkrótce wróciła mama. Opowiedziała najświeższe nowiny ze wsi: o kradzieży w Starej Lipowinie, o otrzymanej przez kogoś paczce z NRF.

— Byłaś przy grosce przez cały czas?

— Tak. Babka spała. Obudziła się niedawno i rozmawiamy.

— Chciałabyś wyjść? Bo jutro musisz posiedzieć w domu.

Wieczór był cichy. Wieś opustoszała, tylko okna domów świeciły, kominy kwitły dymami, a w niektórych podwórzach słychać było brzęk wiader i z obór dochodziło dzwonienie łańcuchów. Niebo pokryło się lekkimi chmurami.

Niepokoili ją świadomość tego, że skrada się w tej ciemności na spotkanie z chłopcem. Czyniła to po raz pierwszy w życiu. Nie cofnie się, ale też już nigdy więcej tego nie uczyni. Jeszcze rok temu nie wstydziła się popołudniowego spaceru z Helmutem. Chodzili lasami w stronę leśniczówki Dzierzguny, kiedy indziej nad jezioro Lalka. Ileż zmieniło się przez ten krótki czas.

Gdy mijała ostatnie domy wsi, przyłapała się na myśli, że to Janek spowodował te zmiany. Od czasu gdy zaczęła o nim myśleć, myślała też inaczej o Helmutcie. Jeszcze przed godziną myślała o nim jako o mężu. Co pomyślałby o niej Janek, gdyby dowiedział się o tym jej wieczornym spotkaniu z kimś innym? A co pomyślałby Helmut, gdyby poznał jej marzenia o Janku?

Zrobiło się jej wszystko jedno, gdy za zagrodą Hermańskich zbiegała na dół przez piach ku jezioru. Rozpięty płaszcz rozpostarł się na kształt skrzydeł i biegło się jej tak, jak gdyby nie istniało ciężenie. Jezioro błyszczało w głębokiej kotlinie. Biegła ku niemu jak ku minionemu dzieciństwu, które chciało powracać, a którego nieodwołalny koniec przeczuwała.

Helmut stał na samym końcu szerokiej drewnianej kładki. Jego sylwetka kładła się na tafli jeziora jak statua. Łodzi nie było. Dowiedziała się już po południu,

że ją dla konserwacji zatopiono na zimę, oznaczając miejsce zatopienia drewnianym pływakiem. Dlaczego jeszcze jej nie wydobyli?

— Przyszłaś — powiedział Helmut, jakby oznajmiał coś niezwykłego. — Ładny wieczór.

Potem wzięła ją pod rękę. Czowała na całym ramieniu żar jego dłoni. Wiedziała, że powinna go odsunąć, że to już nie jest dawny Helmut, ale i ona była kim innym. Wróciło wspomnienie tamtej szkoły widzianej z autobusu i gonitwy w sadzie — ale teraz był tam z nią on — Helmut. Uśmiechnęła się do tego wyobrażenia i odsunęła od siebie myśl, że powinna wstydzić się raczej.

— Dlaczego się uśmiechasz?

— Tak sobie. Wesoło mi. A tobie nie? Pamiętasz? W tamtej zatoce wyładowaliśmy i rozpaliliśmy ognisko.

Wskazała ręką na przeciwległy brzeg jeziora; przystanęli. Znalazł się za nią, położył ręce na jej barkach i przylgnął do jej pleców. Tak samo stali wtedy na pokładzie żaglówki i patrzyli na rozpruwaną pędem łodzi powierzchnię jeziora. Tak samo — i nie tak samo.

— Chciałbym wiedzieć, o czym teraz myślisz.

Odwrociła się do niego. Na swych włosach poczuła ciepło jego oddechu. Zsuwał swe ręce po jej ramionach w wyraźnej pieszczocie. Nie broniła się. Nie mówiła nic. Aż wreszcie ni stąd, ni zowąd zachciało się jej śmiać. Teraz ona pochwyciła go za łokcie i zakreśliła się dookoła. Niebo nad nimi kołowało szarą, jednolitą masą. Gdy zatrzymali się, głowa jej opadła na jego ramię. Zamknęła oczy, w których coś tam jeszcze wirowało w dalszym ciągu. Chwiejąc się, przylgnęła do niego. Chciała otworzyć oczy, ale poczuła na wargach jego usta. Była rozkołysana, szczęśliwa, czuła,

jak ziemia chwieje się pod nogami. Odchyliła głowę i wtedy jego usta błędziły po jej policzkach, po uszach, włosach, zsuwały się na szyję, a potem wróciły znowu do warg. Wyobraziła sobie tamten sad przyszkolny i słońce idące po niebie. Nie chciałaby teraz słyszeć o żadnych walkach i cierpieniach. Życie — piękne, radosne życie! Wyrwała się z objęć i pobiegła przed siebie. Dopędził ją prędko.

Nie żałowała tego pierwszego w życiu pocałunku. Wiedziała, że musiał on kiedyś przyjść, że trzeba było go doświadczyć. Przyszedł razem z nową wiedzą o życiu. I on sam był czymś z nowego życia — jakimś kawałkiem życiowej mądrości. Dobrze, że zaznała tego z Helmutem. Był przecież jej najlepszym przyjacielem.

Na wargach czuła jeszcze jego usta. Ceniła sobie ten ślad — on właśnie był jej zdobyczą — tym nowym, a zarazem niepowtarzalnym. „Zaczyna się to zawsze pewnego dnia.”

— Zaczyna się to zawsze pewnego dnia — wyszepiała.

— Co mówisz? — zapytał.

— Myślę, skąd w tobie ta zmiana.

— Jaka zmiana? — zdziwił się. — O czym ty mówisz?

— Mam na myśli to, co powiedziałaś przed południem.

Spojrzała na niego i spostrzegła zawód w jego twarzy. Zaczęła już sama żałować powrotu do tego tematu, ale było za późno, by się wycofać. Zdążyła mu już przecież wszystko wybaczyć.

— Mam na myśli — powtórzyła — to twoje zdanie, że w Polsce nie możesz żyć.

Stała przed nią, jak gdyby gotowy do walki.

— Powiedziałem, że my jednak w Polsce żyć nie

możemy. My — to my wszyscy: i ty, i ja, i twoja rodzina — wszyscy.

Wybuchnęła:

— Jak to? Dlaczego mówisz o mnie i mojej rodzinie? To jest kłamstwo. Zapytaj moją mamę, zapytaj babkę.

— A ty ich zapytaj, czy im jest tutaj dobrze.

— Chyba nie. Ale Polska po wojnie jest jeszcze biedna. Wyniszczyli ją Niemcy.

— Niemcy — zawahał się. — Niemcy — powtórzył i dopiero wtedy dokończył: — My jesteśmy Niemcy.

To spadło na nią jak ciężki kamień. Tego nie spodziewała się nigdy. Puściła jego ramię i odsunęła się o dwa kroki do tyłu. Przypomniał się jej kamień rzucony w pamiątkową tablicę na szkole. Helmut stał przed nią nieporuszony, wielki, tęgi i znowu wydawał się jej posągiem, jak tam — na kładce, na tle jeziora.

— My nawet dobrze po polsku nie umiemy — uzupełnił.

Rzeczywiście — akcent mowy Helmuta był inny niż akcent koleżanek i kolegów w Bartoszczech. Rozpoznała ten inny akcent u siebie i u reszty ludzi w Lipowinie. Tamci — uczniowie i nauczyciele — mówili śpiewnie i gładko. Zauważyła różnice, gdy tylko wstąpiła do liceum. Przedtem — w tej wsi — słuchając mowy ludzi napływowych, sądziła, że to pojedyncze przypadki. W Bartoszczech mogła uogólnić. Język tych wilniuków, rzeszowiaków i innych podobał się jej, lubiła ten ich śpiew — wydawał się jej bardziej polski. Czuliła w głębi duszy swoją niższość i wstydziła się trochę tej mowy mamy, babki, Ernesta, Kryszki.

— Czy ty wiesz — mówił Helmut po chwili — dlaczego Magda skończyła tylko cztery klasy?

— Wiem! — krzyknęła. — Rozmawia w domu po niemiecku.

— Moje ciotki też. Oni wszyscy marzą o wyjeździe na Zachód.

— Nie wszyscy — zaprzeczyła. — Kłamiesz sam o sobie. Już zapomniałeś, jak postąpiłeś przed kilku laty?

Milczał. Widać było po jego oczach, że uderzenie było celne. Jadzia atakowała więc dalej:

— Byli tu dawniej tacy, co z polskiej szkoły przechodzili do niemieckiej; byli i tacy, co starali się zniszczyć polskie życie. Widać, że są tu do dzisiaj jedni i drudzy. Dostałeś się i ty do niemieckiej szkoły, do takiej szkoły bez ławek.

Przestępował z nogi na nogę. Szukał widać mocnych argumentów, bo przygryzał wargi. Wreszcie, jak gdyby rzucił wszystko na jedną szalę, huknął:

— Polskie życie — to nie życie. Nie podoba nam się ta Polska.

— Co? Co ci się nie podoba?

— Ech tam — powiedział. — Polnische Wirtschaft...

Jadzia zamilkła. Zacięła zęby i spojrzała na niego badawczo. Tamte jego wszystkie poprzednie powiedzenia były zaskakujące i bolesne, ale to ostatnie było podłe. Słyszała już te słowa, pochodziły od Niemców, a powtarzali je niektórzy starsi ludzie. Oburzały ją zawsze. W ustach Helmuta brzmiały jak bluźnierstwo.

Badała wciąż jego twarz: usta rozwarł w złośliwym uśmiechu, pomiędzy wargami połyskiwały białe zęby. Czuła do niego wstręt. Zapinała nerwowo guziki swego prochowca. Nie, nie chciała wiedzieć, kto mógł tak oddziaływać na tego Helmuta, który przed kilku laty postąpił jak bohater. Tu nie trzeba demaskować i karzącą ręką szukać sprawców. Prawdopodobnie za dużo było już karzącej ręki. Tu trzeba z pewnością do-



brego słowa i dobrych czynów — za nimi musi być serce.

Tego serca teraz jednak nie mogła w sobie znaleźć. Odwróciła się i, brnąc w piachu, pobiegła w stronę wsi. Chciało się jej płakać, więc przyspieszała kroku, by wyczerpać w sobie wszystkie siły, by ich nie wystarczyło na nic więcej. Gdy dobiegła do miejsca, gdzie nierówna piaszczysta droga pięła się pod górę — nie mogła już biec. Piach obsuwał się spod nóg. Dysząc ciężko, pomagała sobie rękami, by pokonać wzniesienie. Wydostała się wreszcie na szczyt i znalazłszy się między domami, znowu biegła. Dookoła szczekały psy. Nie widziała niczego, tylko razem ze szczekaniem psów wpadały jej w uszy inne, jakby obce odgłosy życia. Z któregoś podwórza dopadło ją zdanie jak zły pies:

— Mach doch die Tür zu.

Po kilkudziesięciu dalszych krokach wpadła na furtkę i odepchnęła ją całym ciałem. Odpędziła cisnącego się pod nogi Bukieta.

Mama i Ernest siedzieli przy kolacji. Nie pytali ją, gdzie była. Mama postawiła przed nią talerz z kartoflami i kapustą z obiadu. Rozmawiali leniwie o nieciekawych sprawach. Zaraz po kolacji poszli spać. Mama powiedziała, wychodząc:

— Musimy wstać o piątej. Raz trzeba tę robotę skończyć. A ty?

— Poczytam jeszcze. Gdy babka zbudzi się, to jej posłużę.

Pozostała sama w kuchni i wodziła oczami po jaśniejszych w elektrycznym świetle słoikach na półce, bijących w oczy nienawistnymi, gotyckimi napisami: Zucker, Salz, Mehl. Nasłuchiwała się już tyle o tym niemieckim porządku i o tej polskiej gospodarce. Co za gadanie!

W gazetach często piszą o brakoróbstwie, bumelanctwie, kradzieżach. W liceum nieraz mówiono o pijanych palaczach z kotłowni. Kiedyś jakiś księgowy internatu przepił dwieście tysięcy złotych, wpłacanych przez młodzież na własne wyżywienie, i poszedł do więzienia. Nasłuchała się o nieładzie w gminnych spółdzielniach. A ów słynny szaber?

Czyżby Helmut miał rację?

Rodzice mówią czasem o słabych postępach dzieci w nauce i o niezaradności nauczycieli. Nie tak bywało w niemieckiej szkole... Lecz zaraz jej przyszło na myśl: bili!

I słowa Helmuta zawisły nad nią jak bat. Młode wyrostki hitlerowskie potrafiły bić aż do ostatniego tchnienia swe ofiary. Czyżby i Helmut był zdolny do tego, gdyby urodził się o piętnaście lat wcześniej i wychowywał się w niemieckiej szkole?

Jego pocałunek zaczął palić jej wargi. Pod wpływem tego ognia powróciło wyobrażenie tamtego przyszłokolegęgo sadu i wspomnienie Janka.

Słońce wirowało po czystym niebie, drzewa pełne jabłek kręciły się dookoła jak karuzela, a Janek trzymał ją w ramionach.

Wstała z krzesła i na palcach weszła do pokoju. Album w dużej, sztywnej, brązowej okładce leżał na komodzie. Ujęła go w ręce i na palcach wróciła do kuchni. Rozłożyła go na stole i, wertując, odnalazła ślubne zdjęcie rodziców. Mama w białej sukni i powłóczystym welonie trzymała w ręce bukiet białych kwiatów. Ojciec w czarnym garniturze podtrzymywał ją — odświętny i uroczysty.

— Mąż — szepnęła jeszcze raz, ale już inaczej. Chciała tym szepem wyrazić cały szacunek dla ojca.

Przywidziało się jej, że twarz ojca ożyła, rozjaśniła się uśmiechem, zwróciła się jeszcze bliżej w stronę

mamy, a jego usta wyczeptały jakieś niedosłyszalne, czułe słowa.

— Jadzia! — to babka wołała z pokoiku.

Spojrzała jeszcze raz na twarz ojca i z otwartym albumem pospieszyła do babki.

\*

— Tak — powiedział Jan Piotrowski, nie odrywając spojrzenia od Marii. I ona patrzyła na niego zza fałd welonu jakby wyczekująco.

W następnej chwili ksiądz Osiński wsuwał im na palce złote obrączki.

Dalsze ceremonie nie robiły już na nich wrażenia. Brali we wszystkim półprzymiotny udział, myśląc bardziej o domu, o stanie przygotowań do wesela, o kłopotach, jakie tam rodzice mieli i jeszcze mają, by pomieścić gości, by dla wszystkich wystarczyło jedzenia i picia. Nie było też pewne, czy hitlerowcy z Butryn nie knują jakiejś przykrej niespodzianki po wyjściu z kościoła. Maria bała się tego najbardziej, bo Jan był porywczy i mógłby w razie napaści zrobić coś takiego, za co wsadzają do więzienia.

Dopiero gdy powstali z klęczek i wśród huczenia organów zaczęli wychodzić — powrócili w pełni do rzeczywistości. Otoczeni spojrzeniami, poczuli dumę i radość z tej ich własnej uroczystości. Maria stąpała miękko, oparta o ramię męża, pieszcząc drugą ręką olbrzymi kwietny bukiet i pamiętając o wszystkich fałdach białej muślinowej sukni. Jan, prostując się w czarnym garniturze, szedł ciężkim, lecz prężnym krokiem.

W kruchcie otoczyło ich grono składających życzenia. Oddawali serdeczne uściski i pocałunki siostrom, braciom, krewnym, przyjaciółom i znajomym. Postępu-

jąc od jednych do drugich, znaleźli się na cmentarzu kościelnym. Tłum tłoczył się dookoła.

Słońce z bezchmurnego nieba przebijało się przez gęste konary drzew. Strojny orszak weselny długo ładował się w powozy. Młoda para wsiadła sama do pierwszego z nich — pięknego, czarno lakierowanego, który miękko ugiął się na dobrych, nowych resorach; dawało to poczucie bezpieczeństwa. Jan pomógł Marii ułożyć welon i fałdy długiej, białej sukni.

Ruszyli szybko naprzód. Wypoczęte konie, czując lekki ładunek, rzuciły się w klus. Młodzi czujnie spoglądali na obie strony drogi, na mijane domy i ogrody. Byli teraz znowu poza rejonem swego osobistego szczęścia, nie mówili do siebie nic. Dopiero za zakrętem, gdy powóz z kocich łbów wydostał się na asfaltową szosę i oczom odsonił się szerszy widok na pola — odetchnęli i spojrzeli sobie w oczy. Za sobą słyszeli stukot końskich kopyt i śmiechy rozbawionych gości weselnych, jadących następnymi powozami.

Spokój nie był jednak jeszcze zupełny. Co prawda minęli Butryny, które od pięciu lat — od czasu objęcia władzy przez Hitlera — były miejscem wielu prowokacji antypolskich. Ale przed nimi była Kozia Góra, w której w nowo wybudowanych barakach mieścił się obóz studentek niemieckich, odbywających obowiązkową służbę pracy. Udzielały one pomocy chłopskim gospodarstwom, był to jednak tylko pozór, a właściwą treścią było wnoszenie do wsi polskiej większego ładunku kultury niemieckiej i przyczynianie się do germanizacji polskiej ludności. W praktyce studentki nie pracowały. Obcowały z młodzieżą wiejską, rozmawiały z nią po niemiecku, wieczorami gromadziły ją przy ognisku, aby pogawędzić i pośpiewać. Odwiedzały również wieczorami poszczególne rodziny. Ze studentkami pozostawali w przyjaźni młodzi

członkowie SNDAP i SA-manni z Butryn. A choć ich było niewielu — stanowili groźne niebezpieczeństwo dla okolicy.

Kozia Góra zbliżała się szybko. Droga wznosiła się lekko, a kilkaset metrów dalej wylaniał się młody zagajnik. Po chwili ukazały się wśród drzew czarne dachy baraków.

Jan gwałtownie podniósł się z siedzenia i wychylił się za kozioł. Tuż naprzeciw obozu stał w poprzek szosy wóz, zaprzężony w dwa konie, pochylony, bez jednego z tylnych kół; był to wóz, którym hitlerowcy sprowadzali produkty żywnościowe dla zaopatrzenia kuchni obozowej. Przy pozbawionej koła osi majstroowało dwóch ludzi w brązowych mundurach SA, trzeci stał przy koniach. Wóz zajmował więcej niż pół szerokości szosy, ale prawa jej część od strony obozu była dostatecznie szeroka, by nią przejechać. Jan domyślił się, że za chwilę prowokatorzy zatarasują przejazd do reszty, i dysząc ze złości, szepnął do woźnicy:

— Prędszej! Zanim zawałą resztę drogi!

Leon podciął konie. Rzuciły się pędem do przodu, aż zarzuciło powozem. Do obozu było jeszcze ponad sto metrów. Jan obserwował teren.

Za chwilę zobaczył, jak samochód komendanta obozu kończył manewr zwrotny. Stanąwszy w miejscu, z wyciem silnika ruszał powoli przed siebie, wydostając się z placyku przed barakami na szosę. Powóz pędził z największą szybkością, a samochód już, już osiągał brzeg szosy. Wreszcie konie zrównały się z linią przeszkód. W tej samej chwili maska samochodu znalazła się na skraju szosy i dotknęła kół pędzącego powozu. Zazgrzytała blacha i zabrzęczało tłuczone szkło reflektorów. Ozwały się przekleństwa Niemców. A powóz pędził dalej.

Jan obrócił się do tyłu. Następne powozy jechały

wolniej i dopiero pierwszy z nich zbliżał się do przeskód. Wąskie przejście pomiędzy tyłem wozu a maską samochodu było teraz szersze, bo samochód utkwiał w miejscu, a wystraszone wypadkiem konie posunęły się w stronę rowu, pociągając za sobą kulawy wóz. Jeden z SA-mannów wszedł w przejście i wygrażał pięścią oddalającemu się powozowi młodej pary, ale po chwili niepewnym krokiem wycofał się. Wtedy następne pojazdy orszaku weselnego przejechały jeden za drugim.

Jan odetchnął z ulgą. Prowokacja nie udała się dzięki jednej sekundzie opóźnienia samochodu, który w tej sytuacji sam wjechał na powóz. Gdyby w następnej sekundzie samochód był już dalej lub Leon nie zdążył zatrzymać koni i wpadł na niego — winę można by było przypisać furmanowi i wynikłaby awantura, która na pewno skończyłaby się więzieniem.

Maria dyszała, wtulona w kącik siedzenia, zakrywając dłońmi twarz. Leon gwizdał na koźle, nie zwalniając tempa jazdy. Dzięki temu tempu wyszli cało. Jan usiadł z powrotem obok Marii, ujął jej ręce i szepnął:

— Nie bój się, wszystko dobrze.

Ale wiedzieli, że to nie koniec. Niepowodzenie jednej próby nie da prowokatorom spokoju i z pewnością jeszcze podczas wesela podejmą drugą. Nie na darmo matka zapowiedziała rano nieszczęście, powtarzając bez końca swój sen o śledziach. A śledzie — to jej zdaniem nieszczęście nieuniknione.

— Pamiętasz, co mówiła mama? — powiedziała Maria.

— Właśnie o tym myślę i śmieję się w duchu. Ale będziemy się pilnowali. Zobaczysz, nasze wesele będzie ładne i nic się nie stanie. Sny — to dla starych.

Maria jednak z troską i obawą patrzyła na mijane

w pędzie pola, odłogi i zagajniki, choć oblewający je słoneczny blask napełniał spokojem.

*Niespostrzeżenie dotarli do wsi.*

Na podwórzu powitała ich orkiestra siarczystym wiwatem. Goście wysypali się z powozów i zapełniali otoczenie domu, komentując wypadek na drodze. Ale wkrótce o nim zapomniano i niektóre niecierpliwe pary puściły się w taniec.

Przy obiedzie już nic nie mąciło weselnego nastroju. Nawet stara matka zapomniała swój sen o śledziach i wesoło śmiejąc się przy stole, śpiewała razem z grupą najstarszych gości dawne pieśni weselne.

W najlepszym nastroju minęły też tańce. Dom i podwórze pełne były gości i gapiów i nikomu teraz już na myśl nie przyszło, by wśród tłumu ludzi dopatrywać się wrogich zamiarów.

Na kolację przybył nauczyciel Teofil Grus z żoną. Nie mogli przyjść wcześniej, gdyż byli na konferencji nauczycielskiej. Potem Grusowa zaproponowała, by odbyć niektóre stare obrzędy weselne. Znali ją wszyscy dobrze od lat i wiedzieli, że pragnie podtrzymać stare zwyczaje, o których młodzi zapominają.

Tuż przed północą na środku izby ustawiono stół. Goście w tłoku ustawili się dookoła, a przy stole zasiedli młodzi, rodzice, bracia i siostry. Pannie młodej zdjęto z głowy wianek i położono go na stole. Maria przysunęła rękę do wianka i popchnęła go w stronę matki, śpiewając:

*Ach, mój zionku, zionku lawendowy,  
kulnę jo cię po stole,  
kulnę jo cię moi mniły matce,  
kulnę jo cię po łonie.  
Ach, mameczko moja miła,  
przyjmijże go do siebie!*

Matka nie przyjęła wianka. Odsunęła go w stronę córki drżącą ręką, a w jej oczach lśniły łzy. Przysłoniła więc je drugą ręką i śpiewała chrypliwym, zmęczonym głosem:

Nie przyjmują, moja droga córko!  
Już mi nic jest do ciebie!

Potem Maria popychała wianek po kolei do ojca, do teściów, do sióstr i braci, powtarzając tę samą pieśń — ale nikt nie przyjmował wianka. Na końcu posunęła go w stronę męża. Jan zatrzymał wianek przy sobie i zaśpiewał wesołym, basowym głosem:

Jo przyjmują zionek całym sercem  
i przyciskom do siebie!

Ktoś ze stojących gości przerwał ogólną zadumę i krzyknął:

— Gdzie by ten Janek przepuścił zionkowi Łasy on na niego!

Izba zabrzmiała śmiechem. W ten śmiech wdarł się brzęk tłuczonego szkła. Równocześnie pod oknem ktoś przeciągle jęknął i z tej samej strony huknęło coś o podłogę. Wrzawa ucichła nagle i wśród ciszy słychać było na ulicy oddalający się tupot nóg.

Niektórzy młodzi wybiegli natychmiast z chaty, za nimi wypadł starosta wesela. Pod oknem jedna z druzhen weselnych trzymała się, jęcząc, za plecy. Wyprowadzono ją na środek izby i oglądano ślady na sukni w miejscu, gdzie otrzymała cios kamieniem. Gdy kobiety zajęły się cierpiącą, mężczyźni podawali sobie z rąk do rąk podniesiony z podłogi kamień.

W zamieszaniu, które wywiązało się w sieni, dał się słyszeć przez otwarte drzwi ochryply, dobrze znany głos policjanta z Butryn:

— Wer hat das gemacht, Donnerwetter?



Sytuacja była dla wszystkich jasna: napad odbył się, jak zwykle, pod ochroną policjanta i ten teraz będzie odgrywał komedię śledztwa. Było rzeczą oczywistą, że winowajca nie znajdzie się, trzeba tylko wystrzegać się dalszych nieprzyjemności.

— Wer hat das gemacht? — powtarzał policjant. — Wo ist denn der Junge Herr?

Jan właśnie spotykał w drzwiach spasionego mężczyznę w zielonym mundurze. Wszyscy rozstępowali się, by zrobić mu miejsce. Chłopcy wrócili z ciemnej drogi, nie znalazłszy nikogo. Policjant i Jan rozmawiali po niemiecku.

— Na kogo macie podejrzenie? — spytał policjant.

— Podejrzenie? — powtórzył Jan i zamilkł nagle.

Zrozumiał, o co chodzi. Zapanowała ogólna cisza. Było dla obecnych rzeczą jasną, że to pytanie jest dalszym ciągiem prowokacji. Nie było do pomyślenia, by kamieniem rzucił ktoś z Polaków. Wszyscy wiedzieli, że zrobił to któryś z SA-mannów, ukryty teraz w jakimś niemieckim domu, albo sam policjant. Gdyby powiedzieć to, co wszyscy sądzili — byłaby gotowa podstawa do oskarżenia przed hitlerowskim sądem.

Jan łatwo zorientował się w sytuacji. Wolał nikogo nie posądzać.

— Skąd ja mogę wiedzieć, kto to zrobił, panie policmajster? — odpowiedział pogodnie. — Nikogo nie posądzam. Zwyczajnie, ktoś tak z głupoty. Mówią, że to szczęście, jak tłucze się szkło na weselu.

Starał się obrócić wszystko w żart, ale policjant powtarzał uparcie — raz po niemiecku, raz po polsku:

— Ordnung muss sein. Porzundek musi być.

Goście zaczęły rozchodzić się po izbach. Starosta kiwnął orkiestrze, by zagrała. Zaczęto schodzić się w pokoju, w którym odbywały się tańce.

Okazało się, że Ewie, która dostała kamieniem

w plecy, nie stało się nic groźnego. Siła pędu kamienia, po rozbiciu szyby, była niewielka.

Policjant siadł przy stole, widocznie był zmęczony. Jan i starosta wesela siedli po obu jego stronach. Na stole zjawiała się butelka wódki, postawiono trzy kieliszki. Nieproszony gość oblizywał się na widok kielbasy. Pokój opustoszał — wszyscy zrozumieli bez słów, że dla osiągnięcia spokoju należy siedzących pozostawić bez świadków.

Nie było łatwo namówić policjanta do wypicia pierwszego kieliszka. Dopiero dłuższa rozmowa i napełnione mięsem półmiski przelamały jego opór.

— Czym pan zakąsi, panie policmajster?

Policjant sięgnął po szynkę. Następny kieliszek zakąsił kielbasą. Po kilku kieliszkach był już przyjaźnie serdeczny i dał się przekonać, że rzut kamieniem w okno jest zupełnie niewinną zabawą. Gdy oczy jego były już dobrze zamglone, a język aż nadto miękko poruszał się przy rozmowie — powiedział:

— Przekłeta służba! Nie macie tam gdzie śledzika?

Jan wyszedł z izby, by poszukać teściowej. Śledzi na weselu nie podano, ale wiedział, że w spiżarni jest słoik z rolmopsami. Śmiał się po drodze długo, bo miał już też w czubie, a przypomniał mu się sen o śledziach razem z wynikającymi z niego wróżbami. Dopiero wyśmiawszy się do syta, powiedział teściowej:

— Wyśniły się mamie te śledzie! Niech no mama da ten słoik z rolmopsami, bo policjant ma na nie apetyt! Już do rana będziemy mieli święty spokój!